

Czasami podróż za głosem serca okazuje się
drogą do odnalezienia siebie

Gdybyś tu był

Renée
Carlino



SŁOWA UZNANIA ZA

Swear on This Life

Pozycja w pierwszej dziesiątce najlepszej literatury kobiecej
w 2016 roku według „Booklist”

~

Najlepszy romans sierpnia 2016 według *Goodreads*

~

„*W Swear on This Life* Renée Carlino prezentuje szczytową formę. To powieść żywiołowa, autentyczna i porywająca; przeczytałam ją za jednym posiedzeniem”.

– Colleen Hoover

autorka *It Ends with Us*, bestsellera „New York Timesa”

~

„Ta bestsellerowa autorka wie, jak zdzielić czytelników słowem, a *Swear on This Life* to jej jak dotąd najlepsza powieść”.

– „Redbook”

~

„*Swear on This Life*, rzecz tajemnicza i wciągająca, to doniosła historia miłosna w sam raz na lato”.

– *Bustle*

~

„Hipnotyzująca. Powieść Renée Carlino o miłości i odkupieniu to znakomita wymówka, żeby posiedzieć do późna w nocy”.

– *Shelf Awareness*

„Fanki Carlino będą zachwycone, podobnie jak czytelniczki, które nie miały jeszcze okazji się z nią zaznajomić. Fabuła jest interesująca i poprowadzona w tak zawrotnym tempie, że zamiast zgasić w porę światło, do późna przewraca się stronicę”.

– „Kirkus Reviews”

~

„Czytelniczki oszołomi zarówno sama treść powieści, jak i zamknięta w niej historia. Wielbicielki romansów i fanki literatury kobiecej migiem połkną tę ujmującą historię miłosną”.

– „Booklist”

~

„Fankom romansów trudno będzie się oderwać od tej szczerzej opowieści o odporności i pierwszym uczuciu”.

– „Library Journal”

~

„Zachwyciła mnie szkatułkowa narracja i nie mogę przestać myśleć o feralnej miłości Emi i Jase’a”.

– *Heroes and Heartbreakers*

~

„Pięknie napisany romans o dawaniu drugiej szansy, opowieść, która na długo zapada w pamięć”.

– *Vilma's Book Blog*, 5 gwiazdek

~

„Swoim kunsztem pisarskim Carlino przeniesie was w inny wymiar”.

– *Book Baristas*, 4,5 filizanki kawy

Renée Carlino

Gdybyś tu był

PRZEŁOŻYŁA
Ewa Borówka



TYTUŁ ORYGINAŁU:
Wish You Were Here: A Novel

Redaktor prowadząca: Ewelina Sokalska
Redakcja: Justyna Yigitler
Korekta: Ewa Popielarz
Projekt okładki: Łukasz Werpachowski
Zdjęcie na okładce: © Look Studio (Shutterstock.com)
DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2017 by Renée Carlino
All rights reserved, including the right to reproduce this book or portions thereof
in any form whatsoever. For information address Atria Books Subsidiary Rights Department,
1230 Avenue of the Americas, New York, NY 10020.

Copyright © 2019 for the Polish edition by Wydawnictwo Kobiece Łukasz Kierus
Copyright © for the Polish translation by Ewa Borówka, 2019

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I
Białystok 2019
ISBN 978-83-66338-97-5



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:
www.facebook.com/kobiece



WYDAWNICTWO
KOBIECE

www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobiece
E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl
Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie
www.wydawnictwokobiece.pl

1. Chorałki

Wtorki w Blackbird's Café przebiegały pod znakiem meksykańskiej zupy z tortillą. Dowolna liczba dolewek za marne cztery dziewięćdziesiąt pięć. Dla miłośników *sopa de tortilla* – wypas. Dla kelnerów – masakra.

Chwyt polegał na tym, że miski były szerokie i płytkie, przez co zdawały się mieścić całe mnóstwo gęstego specjału, a w rzeczywistości każda porcja składała się z cienko rozlanej zawartości niewielkiej chochli. Rzeczonych talerzy udających miski nie dało się nieść na tacy; ilekroć ktoś kursował między kuchnią a stolikiem, zupa chlupotała na boki i nawet w najpewniejszych rękach przelewała się przez krawędź. Jack, właściciel, oraz jego gruby młodszy brat, na którego wołali Ciacho (wiem, wiem, śmiechu warte), kazali nam nosić tace nad głową jak tym cholernym hostessom jeżdżącym na wrotkach po komisach samochodowych. „W tym cały urok” – mówili. Słowo „urok” rzucali według mnie z głupia frant dla uzasadnienia przestarzałego wystroju wnętrza.

Kto chciał zamówić „bezdenną” miskę zupy, musiał bezwstydnie wciągnąć miniaturową chorągiewkę na zamocowany do krawędzi stołu maleńki maszt. Okropny był ten system, ale Jack i Ciacho osiągnęli pożądany efekt: nikt, nawet stu pięćdziesięciokilowy maniak kuchni Tex-Mex, nie śmiał unieść chorągiewki więcej niż dwa razy; to było zbyt upokarzające.

Niestety sztuczka pozwalająca zwabić ludzi i jednocześnie wyjść na swoje nie przyciągała klienteli skłonnej do dawania sutych napiwków, więc wtorek stał się dla kelnerek z Blackbir-da dniem totalnej porażki. Nie udawało nam się dorobić, a do domu wracałyśmy w zachlapanych zupą bluzkach (tak, w tej garkuchni ze smażeniną nosiłyśmy białe bluzki z muszkami; pewnie na tym też polegał urok). A ten szczególny wtorek był już najgorszy.

– Ale sajgon. Widziałas tego gościa przy dwudziestce trójce? – zagadnęła mnie przy bocznym barze Helen, moja współlokatorka, współpracowniczka i najbliższa przyjaciółka.

Wyjrzałam zza węgła i wypatrzyłam jedzącego samotnie siwowłosego mężczyznę.

– No. I co z nim?

– Poprosił o awokado *al dente*. Ja pierdolę, kto używa określenia *al dente* w odniesieniu do awokado?

– Ale wiesz, o co mu chodziło, nie? – Śmiałam się, ale Helen zachowała kamienną twarz.

– Tak, ale to nie Spago. Niech się cieszy, że w ogóle dostanie w tej dziurze zielone awokado.

– Aż tak źle to nie jest – powiedziałam, nalewając coli do plastikowego kubka. Dozownik zaczął prychać i wypływać

porcjami powietrze. – Ożeż kurwa! CO₂ się kończy, zawołasz Ciacho?

– Sorry, muszę odebrać zamówienie z dwudziestki jedynki. – Oderwała się od baru i kołysząc biodrami, ruszyła swobodnym krokiem między stoliki. Helen wiedziała, że ma niezłe ciało i że mężczyźni się na nią gapią. Szła powoli i rytmicznie, co nasunęło mi myśl, że lubi być w centrum uwagi.

Ja, dla odmiany, chodziłam szybko, z opuszczonymi ramionami i zwieszoną głową. Stale słyszałam: „Taka z ciebie ładna dziewczyna, Charlotte. Dlaczego chodzisz jak działydyga?”. I odpowiadałam na ogół: „Czy ja wiem? Po prostu tak chodzę”. Słabo, zdaję sobie sprawę, ale nie bardzo mnie obchodziło, jak mnie widzą inni. Pewnie dlatego, że jeśli chodzi o wygląd, to podobały mi się w sobie wyłącznie moje długie kasztanowe włosy. Miałam wielkie brązowe oczy, które mój brat nazywał sraczkowatymi, i piegi, które z czasem na szczęście zbladły. Gdyby jednak ktoś kazał mi narysować autoportret, nieświadomie dodałabym piegi. To by się zgadzało z Freudowską teorią głoszącą, że w duchu jesteśmy wiecznymi dziećmi.

– Ktoś mnie wołał? – Odkręcałam już butlę z CO₂, gdy nagle stanął za mną Ciacho. Stanął za blisko.

– Możesz to zrobić? – Stałam pochylona z wypiętym tyłkiem.

– Zdaje się, że całkiem niezłe ci idzie.

Poderwałam się jak oparzona.

– Musisz być takim zbokiem? Ktoś cię w końcu pozwie.

Gdyby nie to, że w tym roku wylali mnie już z dwóch innych miejsc, na pewno bym nie tolerowała pieprzenia Ciacha, ale potrzebowałam kasy i nie mogłam sobie pozwolić

na kolejne zwolnienie. Chyba nie muszę dodawać, że nie marzyłam o posadzie kelnerki, ale miałam poważniejsze zmar-twienia. Byłam dietetyczką i certyfikowaną masażystką oraz posiadaczką licencji pośrednika w handlu nieruchomościami. Już rozumiecie? W pewnym momencie zdawało mi się, że chcę zostać dżokejką. W życiu nie dosiadałam konia, ale na-ogłądałam się *Niepokonanego Seabiscuita* i to mi wystarczyło.

– Wyluzuj, Charlotte. Suń się. – Ciacho przemieścił swoją przysadzistą, kręłą sylwetkę i przystąpił do wymiany butli.

Rozejrzałam się po sali i zobaczyłam podniesione chora-giewki na trzech stołach z mojego rewiru. Czas ruszyć głową. Pod zlewem znalazłam duży dzbanek.

– Mogę? – spytałam jednego z pomywaczy.

– Jasne, Ściekonogu – odpowiedział. Wspominałam już, że w Blackbird's wszyscy nazywali mnie Ściekonogiem? Tuż pod wielkimi blachami na spiętrzone brudne talerze znajdował się mierzący może trzydzieści na trzydzieści centymetrów wylot ścieku, do którego zeskrobywałyśmy z talerzy syfiaste resztki. Czasem kanał się zatykał, a czasem, właściwie bardzo rzadko, przypadkiem włąziła w niego któraś z kelnerek. W pewien zaszary wtorek, gdy bardzo się spieszyłam, padło na mnie, a z tego cholerstwa kipiało akurat coś w rodzaju rzygowin. Nie rzygowiny, oczywiście, ale gdybyście potrzebowali czegoś naprawdę podobnego, to mieszanina zupy, resztek klopsa, szarlotki, napojów gazowanych i piwa nada się w sam raz. Wpadłam w odpadki prawą nogą, po samą łydkę, ale gdy tylko wyciągnęłam stopę, uśmiechnęłam się, dziękując w my-ślach sile wyższej, czymkolwiek jest. Każdego innego dnia ten incydent by mnie rozwścieczył, ale był wtorek. Pomy-ślałam, że na pewno zostanę odesłana do domu i zwolniona

z obowiązku roznoszenia zupy. Myślałam się. Jack stwierdził, że knajpa jest nabita i mimo przemoczonej nogawki oraz butów wypełnionych paskudnymi pomyjami mam zostać i roznosić niekończące się miski z zupą. Oczywiście przewali mnie Ściekonogiem.

Sięgnęłam po dzban i zaczęłam nalewać do niego zupy, a wtedy odnalazł mnie Ciacho.

– A ty co wyprawiasz, Charlotte?

– Kilka stolików z dolewką. Tak będzie szybciej i łatwiej.

– Stąpasz po kruchym lodzie już od numeru z bieliźniarką.

Nie podajemy zupy z dzbanka – powiedział.

– Chodzi o wydajność! Zresztą akcja z bieliźniarką to była sprawka Helen.

Byłyśmy nierozłączne, więc stale obwiniali jedną z nas o błędy drugiej. Kilka tygodni wcześniej, podczas spokojnej zmiany, Helen kazała mi odszukać Ciacho i poprosić go o naprawienie drzwiczek bieliźniarki. Wiedziałam, że coś knuje.

Gdy Ciacho otworzył drzwiczki wnęki, wyskoczyła z niej Helen z okrzykiem „Ła!”. Upadł na ziemię i złapał się za serce; człowiek o tak pękatej sylwetce na pewno był narażony na nagły zawał. Na szczęście nie ponosiłyśmy odpowiedzialności za jego przedwczesną śmierć... jeszcze.

– Maczałaś w tym palce – powiedział.

– Nie, serio.

Przez kuchnię przebiegła w podskokach Helen.

– Stara, masz wciągnięte chorągiewki chyba na wszystkich stolikach. Ludzie to jednak nie mają godności.

– No lecę, już lecę.

Ciacho miał rację. Nie należy podawać zupy z tortillą z dzbanka, ale gdyby ktoś zapytał, odpowiedziałabym, że taki urok Blackbird's.

Gdy się trochę rozluźniło, sama wycięłam numer z bieliźniarką. Wiedziałam, że podczas przerw Helen czasem maca się tam z Lukiem. Liżą się już chyba z pół roku. Luc to Francuzik, który wyleciał u siebie z jakiejś burżuazkiej szkoły cukierniczej, zadekował się w Blackbird's i zaczął wypiekać ciasta dla plebsu. I mimo minimalnych zarobków był ze swojej pracy zaskakująco dumny. Wypracował sobie niezwykłą technikę cukierniczą i mógł decydować o wyborze wypieków. To z jakiegoś powodu podniecało Helen. Nie odzywałam się, ale ledwie mogłam patrzeć na jej twarz, gdy Luc coś do niej mówił. Wymawiał jej imię „Ha-lin”, ale ona, słysząc to, prawie szczytowała.

Przy pierwszym spotkaniu pocałował jej dłoń i szepnął do ucha: „Mielibyśmy śliczne dzieci”. Helen cała się rozpląnęła i odtąd należała do Luca. To on pomógł nam znaleźć pracę w Blackbird's – ja nie miałam akurat żadnego zajęcia, a Helen od ośmiu lat nie dostała żadnej sensownej fuchy aktorskiej – i dlatego tylko przewracałam oczami i gryzłam się w język, ilekroć widziałam, jak Helen rzuca mu uwodzicielskie spojrzenia.

Kiedy jednak otworzyłam na oścież drzwiczki, zobaczyłam zapuchniętą Helen siedzącą samotnie na stolku i trzymającą butelkę wódki podwędzoną widocznie ze słynnego barku Ciacha, specjalisty od Krwawej Mary.

– A ty co?

– Luc ze mną zerwał. – Chlipnięcie.

– Jak to? Właśnie teraz? Czemu?

– Coś tam głądził pół po francusku, pół po angielsku, więc nie wszystko rozumiałam. Coś o okręcie zbaczającym z kursu, przejrzałych brzoskwiinach. I cały czas się uśmiechał, złamas jeden. – Łyknęła z flaszki i czknęła.

– To skąd wiesz, że z tobą zerwał?

– Bo powiedział: Ha-lin, było bahdzo pięknie, ale to już koniec.

W jej ustach zabrzmiało to raczej jak wypowiedź Meksykanina niż Francuza, dlatego parsknęłam śmiechem.

– Sorry, ale szczerze? Stać cię na więcej. No wiesz, te jego różowe adidas i niedogolona twarz... Założę się, że nosi slipki.

– Nosi! – Zalała się łzami.

Nachyliłam się i objęłam ją za ramiona.

– Nie martw się, kochana, tego kwiatu jest pół świata. I to ładniej pachnącego.

Wyprostowała się.

– Trochę od niego wali, no nie?

– Potem zmieszanym z surowym ciastem. Ohyda.

– Muszę się zresetować. – Otworzyła gwałtownie oczy i wymierzyła palec wskazujący w sklepienie wnęki. – Tak jest, idziemy dzisiaj na melanż.

Pokręciłam głową.

– Jestem wykończona, a ty może też dzisiaj nie imprezuj. Wcale się lepiej nie poczujesz. W pierwszy wieczór po zerwaniu najlepiej zamówić chińskie żarcie, a potem napchać się lodami i obejrzeć jakąś chałę w telewizji.

– Możesz ufarbować mi włosy – zaproponowała.

– No co ty. Serio?

Helen zaczęła kiwać głową jak uradowany szczeniak.



WYDAWNICTWO
KOBIECE

Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 www.facebook.com/kobiece



ul. Andersa 40A

15-113 Białystok

e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

tel. 731-019-059